

3. W CIEMNOŚCIACH

„Wiara chrześcijańska” twierdzi C. S. Lewis, „nie zaczyna się od radości, ale raczej od rozpacz i nie można pominąć rozpacz w drodze do radości”. Zwierzętom nie grozi wprawdzie rozpacz, ale niedostępna jest im także nadzieja. Nadzieja otwiera się przed tym, kto przezwyciężył swoją rozpacz w świetle Ewangelii. Tylko wtedy znajduje otuchę i nadzieję, która zawieść nie może (Rz 5, 5; Hbr 6, 18).

Piotr wzywa wiernych, by przerzucili wszystkie swe troski na Chrystusa, gdyż Jemu zależy na każdym z nich (1P 5, 7). Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Czasem zmartwienie zawisnie nad głową jak ciemna chmura. Gdy po czterestu latach posługi duszpasterskiej moi przełożeni kościelni powiedzieli, bym poszukał sobie pracy gdzie indziej, załamane się. Gdy moja niezamężna córka zaszła w ciążę, byłem kompletnie rozbity. Nie miał racji Charlie Brown mówiąc, że nie ma problemu tak głębokiego i tak dotkliwego, by nie można było od niego uciec.

Mojżesz mówi nam, że, zanim Abrahamowi zostały objawione warunki przymierza, „opanowało go uczucie lęku, jak gdyby ogarnęła go wielka ciemność” (Rdz 15, 12). Dziwne, że preludium do wspańiałych słów obietnicy musiało być tak przerażające. Znamy wszyscy bolesne zagubienie, wyrażone w wołaniu Dantego: „Obudziłem się pośrodku lasu, było ciemno i nie widziałem drogi przed sobą”. W takich mrocznych momentach najchętniej zapadlibyśmy „w głęboki sen” (Rdz 12, 15). Gdy Dawid został oczerniony i skrzyw-

dzony przez tego, kogo uważał za swego przyjaciela, wypowiedział zdanie, które mogło być natchnieniem dla Piotrowego napomnienia:

„Zrzuć swą troskę na Pana,
a On cię podtrzyma...” (Ps 55, 23)

Niektóre tłumaczenia zamiast „troski” mają „ciężar”, co pochodzi od hebrajskiego rdzenia oznaczającego „to, co zostało dane”. Ciężar, który teraz niesiesz – cokolwiek by to było – przychodzi do ciebie jako dar od Wszechwładnego Boga. Ten, kto ci go daje, zachęca cię, byś, jeśli zechcesz, złożył Mu ten ciężar w ofierze.

Kto dzisiaj się modli?

David Jacobsen, Amerykanin przetrzymywany przez półtora roku jako zakładnik w Bejrucie, był skuty łańcuchami, źle żywiony i okrutnie maltretowany. Wraz ze swymi współwięźniami założył wspólnotę o niewesołej nazwie „Kościół za zamkniętymi drzwiami”. Składali ręce do modlitwy i błagali Boga o pomoc. Jacobsen powiedział potem, że właśnie w tej ponurej celi Duch Święty pokazał mu, że „Święty Poczyszyciel przychodzi, gdy jest wzywany”.

Przerażające ciemności przychodzą jednak w różnych formach i mogą odebrać siłę nawet najmocniejszemu chrześcijaninowi. Zdarzają się sytuacje, które tak nas wytracają z równowagi i dezorientują, że po prostu nie jesteśmy w stanie się modlić.

David Brainerd, jedna z najjaśniejszych gwiazd misjonarskich czasu Wielkiego Przebudzenia, zapisał w swym dzienniku te szczere refleksje: „Ledwie powłóczyłem nogami i musiałem położyć się do łóżka... czas mijał, a ja nie byłem w stanie ani czytać, ani medytować, ani się modlić... O, jak ciężko płynie chwila za chwilą, gdy nie potrafię zrobić nic pożytecznego i jestem zmuszony, by trwonić cenny czas”. To ten sam duchowy olbrzym, który stale mówił o swym gorącym oddaniu Chrystusowi i życiu poświęconemu modlitwie.

Wyobraźmy sobie, że Paweł Apostoł również prowadził dziennik. Proszę wybaczyć, jeśli wydaje się, że graniczy to z herezją, ale wcale bym się nie zdziwił, gdybym przeczytał, że nawet ten najbardziej niezwykły święty doświadczał, podobnie jak Brainerd, okresów zupełnej niezdolności do zrobienia czegokolwiek. Trudno sobie wyobrazić, by biczowania, katastrofy okrętowe, bezsenne noce, wrogość braci i dotkliwe ubóstwo nigdy nie wpłynęły ujemnie na zdolność Pawła do modlitwy. Oczywiście to tylko przypuszczenie.

Nie pozostawia jednak wątpliwości bezpośrednia wartość, jaką Paweł przypisywał swemu cierpieniu. „Któż odczuwa słabość, bym i ja nie czuł się słaby?” (2Kor 11, 29). Dzięki kryzysom Pawła wzrosła jego empatia, tym samym poszerzyło się pole jego oddziaływania. Idzie on jeszcze krok dalej, uświadamiając sobie, że jego słabość prowadzi go do zaufania Bogu, „aby zamieszkała we mnie moc Chrystusa” (2Kor 12, 9). Rzeczywiście wydaje się, że te cierpienia dawały Pawłowi nadziemską moc przekazywania Bożej pociechy tym, którzy przeżywali trudności (2Kor 1, 3-5).

W sztuce Thorntona Wildera „The Angel That Troubled the Pool” (Anioł poruszający sadzawkę) pewien człowiek już ma wejść do sadzawki, bowiem woda zaczyna się poruszać. Anioł jednak zatrzymuje go, mówiąc: „Gdzie będzie twoja siła, jeśli utracisz swoją ranę?” Człowiek, który już został uzdrowiony, podchodzi do tego, któremu odmówiono uzdrowienia i błaga go, by pomógł jego przygnębionemu synowi: „Chodź ze mną do mojego domu. Mój syn jest pogrążony w czarnych myślach i ja go nie rozumiem...” Właśnie brak ulgi w bólu i cierpieniu pozwolił nieuzdrowionemu człowiekowi skutecznie dotrzeć do bliźniego w potrzebie. Anioł wyraził to dobitnie: „W służbie miłości mogą służyć tylko zranieni żołnierze”.

W debatach rabinistycznych uczeni wciąż stosują w celach dydaktycznych popularną starożytną metodę, zwaną *pilpul*. W odróżnieniu od metody sokratejskiej, w której nauczyciel zadaje pytania uczniowi, tutaj jeden nauczyciel wypowiada twierdzenie, a drugi wskazuje, dlaczego jest ono niepoprawne. Następnie pierwszy mówca odpowiada na zarzuty drugiego i odbijanie piłeczki w tej dość

wdzięcznej formie polemiki trwa aż do chwili, gdy albo rabini, albo słuchacze mają już dosyć.

Podczas tych posiedzeń, z których wiele opisuje Talmud, sporo jest dzielenia włosa na czworo. Często tematy dyskusji są mało istotne, kiedy indziej jednak można usłyszeć dialog, który przenika duszę do głębi. Oto jedno z dyskutowanych pytań: „Czy Bóg kocha bardziej osobę, która zgrzeszyła, a później żałowała, czy też taką, która nigdy nie zgrzeszyła?” W debacie przeważały argumenty przemawiające za osobą, która nigdy nie zgrzeszyła – odwrotnie niż w nauczaniu Jezusa, że nie tacy wywołują największą radość w niebie (Łk 15, 7).

Inne ważne pytanie dotyczyło cierpienia: „Dlaczego Bóg dopuszcza tak wielkie utrapienia na pobożnych?” Wniosek z tej dyskusji miał niewiele wspólnego z logiką arystotelesowską, ponieważ w debacie rabinistycznej mogą znaleźć się obok siebie twierdzenia pozornie sprzeczne. Zatem, odnosząc się w szczególności do Hioba, otrzymano konkluzję następującą: „Ten, kogo Bóg bardzo kocha, dostaje bogactwa, ale temu, kogo kocha najbardziej, pozwala cierpieć”. Izajasz mówi, że Bóg Ojciec wydał swego Syna na udękę (Iz 53, 10). Mesjasz stał się sprawcą naszego zbawienia przez to, co wycierpiał (Hbr 5, 8-9).

Poprzez utrapienia Bóg może objawić nam swą miłość – a przez nas innym – w sposób, którego nie poznalibyśmy inaczej. Bóg daje nam to, co ortodoksyjni Żydzi nazywają *curys* (udręka) po to, aby się nami posłużyć dla dobra innych. Elizabeth Elliot wspomina mówcę w college’u, który wyraził to w ten sposób: „Jeśli moje życie łamie się na kawałki, gdy oddaję je Jezusowi, być może dzieje się tak dlatego, że ułamki nakarmią rzesze ludzi, podczas gdy bochenek wystarczyłby tylko dla jednego małego chłopca”.

Ufność w życzliwą potęgę Chrystusa nigdy nie jest tak ważna, jak właśnie wtedy, kiedy, jak Brainerd, nie jesteśmy w stanie się modlić, kiedy język jakby przysechł do podniebienia (Ps 22, 15). Bóg dał nam swego Ducha Świętego, który z własnej inicjatywy stał się integralną częścią naszego życia. Budzi On w nas, jeśli nie zawsze niezachwiane, to przynajmniej wciąż powracające przekonanie, że

nasz niebieski Ojciec kocha nas (J 16, 27), że miłość wzięła w rachubę to, co hiszpański mistyk Jan od Krzyża nazwał „nocą ciemną duszy”. Choćby słowa uwieźły nam w gardle, Duch Święty nigdy nie jest pozbawiony mowy. Przychodzi On z pomocą naszej słabości, wstawia się za nami zgodnie z wolą Bożą (Rz 8, 26-27). W tych przepięknych wersetach Paweł poucza wiernych, że Duch Święty działa nieomylnie i niezależnie od ich wysiłków, podtrzymując w nich żywą więź z Bogiem.

Gdy John Newton, autor hymnu „Amazing Grace” (Zadziwiająca Łaska), widział swoją chorą na raka żonę, umierającą powolną i bolesną śmiercią, zaczął dreptać w kółko i z sercem pełnym bólu zanosił do Boga nieskładne modlitwy. Wtedy gdzieś w głębi duszy odczuł poruszenie Ducha, który przypomniał mu godne wiary obietnice Boże. Newton zawołał „Panie, sam jestem zupełnie bezradny, ale pragnę ufać bez zastrzeżeń, że Ty mi pomożesz”.

W naszych wołaniach o pomoc, jak i w podnoszących na duchu wspomnieniach, trzeba umieć dostrzec działanie Ducha Świętego. Jego zamiarem jest rozbudzanie w nas tego, co jest konieczne dla naszego pokoju (J 14, 26-27). Przychodzi On, by nie ogarnął nas lęk, że jesteśmy opuszczeni (2Kor 4, 9). Daje nam łaskę przyjęcia otwartym sercem Jego miłosnych zalotów i dzięki temu może zaspokoić nasze najgłębsze pragnienia.

Jedna z modlitw Sørensa Kierkegaarda przypomina w dojmująco piękny sposób, że przywracająca do łaski inicjatywa Boga budzi w nas tęsknotę za więzią z Nim – pragnienie, które On z pewnością zaspokoi (por. szczególnie Ps 63):

Ojcze niebieski, wiemy dobrze, że to Ty jesteś sprawcą i chcenia i działania, że również tęsknota, jeśli prowadzi nas do odnowienia więzi z naszym Zbawicielem i Odkupicielem, pochodzi od Ciebie. Ojcze niebieski, tęsknota jest Twoim darem. Ale gdy ogarnia nas tęsknota, daj, byśmy uchwycili się jej. Gdy ona nas porywa, spraw, byśmy się jej poddali. Gdy Ty jesteś przy nas, wzywając nas, niechaj i my w modlitwie trwamy przy Tobie. Skoro dając nam tęsknotę ofiarujesz nam największe dobro, spraw, byśmy mocno do niego przyłgnęli.

Oczywiście, gdy zostaliśmy dotknięci do żywego i gdy rany jeszcze krwawią, może się okazać, że nie znajdziemy takiego oparcia, jakiego byśmy pragnęli. Najlepiej przekonał się o tym C. S. Lewis, gdy musiał zmagać się z pozorną obojętnością Nieba wobec raka kości, który bezlitośnie zabierał życie jego żonie. Czuł się tak, jak gdyby zatrzęsnięto mu przed nosem drzwi i zamknięto od wewnątrz na dwie zasuwy. W tych rozpaczliwych momentach Lewis zobaczył, że „nawet paznokcie rąk złożonych do modlitwy można obgryźć do żywego ciała”.

Ostatecznie jednak łaska Boża pociąga nas z powrotem ku tej bezcennej prawdzie, która ma być naszym oparciem: że jesteśmy kochani nie ze względu na to, kim my jesteśmy, ale ze względu na to, kim jest Bóg. Pisarz Victor Hugo odkrył, że największe szczęście w życiu płynie z przekonania, że jesteśmy naprawdę kochani – „kochani jakby na przekór nam samym”.

Taka jest miłość przymierza: oddaje się niezależnie od wierności ukochanego, „nie zmienia się, choć widzi odmianę”. Jesteśmy tak przyzwyczajeni do kontaktów międzyludzkich opartych na zasadach handlowych – „Zrobię to dla ciebie, jeśli ty zrobisz tamto dla mnie” – że nienaturalna wydaje się nam głęboka i niezachwiana miłość ku nam w obliczu naszej niestałości. Mamy jakże wspaniałą dowód niezłomnej wierności Boga: Jezus Chrystus wziął na siebie nasze boleści, był cały poraniony, skrwawiony i zapłakany; Mąż boleści, który poznał każdy rodzaj cierpienia; wreszcie obiecał, że nas nigdy nie zostawi (nawet jeśli jesteśmy bombardowani myślami, że jest na odwrót). Nasz Pan przyszedł, jak mówi George MacDonald, „aby obetrzeć nasze łzy. Czyni to, uczyni to tak szybko, jak tylko będzie mógł, a dopóki nie może ich obetrzeć, sprawia, że płyną bez goryczy...”

Bywały okresy, gdy – przybity wielkim zmartwieniem – czułem się niezdolny do modlitwy. Wprawdzie nikt z nas nie jest wolny od wpływu rozbicia emocjonalnego na duchowy zapał, mamy jednak Zbawiciela, który współczuje nam w naszych słabościach i zawsze żyje, by wstawiać się za nami (Hbr 4, 15; 7, 24). Jego nastawienie ku nam nie zmienia się, gdy zaniedbujemy modlitwę, gdy

modlimy się sporadycznie lub nierozważnie. To jest skuteczne antidotum na zabójczą rozpacz, najlepszy sposób wyjścia z ciemności, które mogą nas osaczyć. Jego wierność sprowadzi w końcu światło.

Corrieten Boom wierzyła w to nawet w mrocznym obozie śmierci w Ravensbruck. „Choćby przepaść była nie wiem jak głęboka”, mówiła, „Boża miłość jest jeszcze głębsza”.

W obliczu nadchodzącej śmierci Ten, który wziął na siebie nasze cierpienia, otrzymał wkrótce nową nadzieję (Ps 22, 2; por. z werselem 24). Dzięki Jego zwycięstwu możemy pokładać w Nim ufność i odważnie wchodzić w Jego życzliwą obecność, gdyż powiedział: „tego, który do Mnie przychodzi, precz nie odrzucę” (J 6, 37).

O Ty, co kochasz skrucę grzesznika,
I w swej miłości nie znasz granic,
Z tego nadzieja nasza wynika,
Że Ty się będziesz modlił za nami.

Kiedy zmęczeni daleką drogą,
Którą do nieba przebyć mamy,
Nie potrafimy już ufać Bogu,
Wtedy, o Zbawco, módl się za nami.

A jeśli zwodzi nas droga łatwa,
I od mądrości się oddalamy
I nie widzimy promyka światła,
Ty również, Zbawco módl się za nami.

Gdy Szatan naszym złem ośmielony
Chce nam odebrać krzyża znamię,
Weź nas, o Panie, w swoje ramiona
I módl się, módl się za nami.

Gdy kiedyś każda grzechu skaza
Przed nami w pełnym świetle stanie,
Powiedz, żeś Ty już wszystko wymazał
I drogi Zbawco, módl się za nami.

(Charlotte Elliott, 1789-1871)

5. WIARA NA GRANICY ZAŁAMANIA

Prawie każdy z nas musiałby się przyznać do tego, co Richard Newton nazwał „niezrozumiałą niechęcią do modlitwy”. Przejawia się ona nie tylko w braku modlitwy, ale także w obłudzie. Mnóstwo ludzi wypowiada w modlitwie to, co rzeczywiście ma na myśli, a jednak okłamują oni samych siebie. „Dziękuję Ci, że nie jestem jak inni ludzie”, modlił się przywódca religijny (Łk 18, 11). Jego pogrążone w ciemności serce mówiło to, w co wierzył, ale była to nieprawda.

Przez wiele lat modliłem się, przynajmniej podświadomie uważając moje grzechy za drobne jedynie przewinienia. Sądziłem, że na pewno nie jestem gorszy niż inni członkowie mojej synagogi – a od niektórych nawet lepszy. Prawdziwy stan mojego babilońskiego serca (według wyrażenia jednego z kaznodziejów) był przede mną zakryty. To łaska dała mi świadomość prawdy o mnie samym i przynagliła mnie, by wołać do Tego, który jedynie mógł wybawić mnie od wiecznej zagłady, na którą zasłużyłem sobie swoimi grzechami. Pewien purytanin modlił się: „Jak dobry to dzień, w którym dajesz mi ujrzeć siebie”.

Bywają jednak chwile, w których z trudnością przychodzi mi powiedzieć Bogu prawdę. Nie dopuszczam do siebie obrazu mego „ja”, gdyż wydaje mi się, że byłoby ono całkowicie nie do przyjęcia dla Niego. Chcę wyglądać na takiego, jakim powinienem być, a nie jakim jestem. Zakładam więc maskę obłudnika i wypowiadam słowa niezgodne z tym, co myślę i czuję.

Majmonides, uczony żydowski z XII wieku twierdził, że nasza miłość do Boga jest proporcjonalna do naszego poznania Boga. Wkrótce po tym, jak zaufałem memu Mesjaszowi Jezusowi, zostałem zaproszony, by przemówić w synagodze w moim rodzinnym mieście. W zimowy dzień szabat w Nowej Anglii wyjaśniałem członkom Świątyni Izraela, co skłoniło mnie, bym uwierzył w „Jeszę”. Głównym dobrodziejstwem, na jakie wskazałem, było wypełnienie się obietnicy przymierza danej Jeremiaszowi przez Jahwe. „Wszyscy bowiem, od najmniejszego do największego poznają Mnie” (Jr 31, 34).

W przeciągu całej, blisko trzygodzinnej debaty, był to jedyny moment, w którym główny przedstawiciel duchowy zgromadzenia przychylnie odniósł się do mego wystąpienia. Przyznał, że celem prawdziwej religii jest poznanie Boga, poznanie intymne, zgodnie z prorocstwem Jeremiasza. Przeczucie tej intymności przez Jeremiasza cechowała otwartość, szczerłość wobec Boga (por. Jr 20, 7).

Jednak owo poznanie nie było w moim przypadku nieprzerwaną, intymną bliskością. Częste frustracje i rozczarowania, nie mówiąc o własnym grzechu, odbiły się na „mistycznej słodkiej komunii”, o której nieraz śpiewaliśmy. Co więcej, muszę przyznać, że miałem bardzo ograniczone pojęcie o Jego bezgranicznie cierplivej miłości ku mnie. Wskutek tego nieraz trudno mi było wyrazić wobec Niego moje prawdziwe uczucia. Nie ufałem Bogu na tyle, by być przed Nim szczerzy.

Mówienie prawdy w udęce

Maggie Ross opowiada o kobiecie imieniem Emma, która przeżyła Holocaust. Stawała ona codziennie przed kościołem na Manhattanie wykrzykując obelgi pod adresem Jezusa. W końcu podszedł do niej pastor i rzekł: „Dlaczego nie wejdiesz do środka i nie powiesz Mu tego?” Weszła więc ukradkiem do świątyni. Po godzinie duchowny, nieco zaniepokojony o jej zdrowie, zaglądnął do środka i zobaczył Emmę leżącą twarzą do ziemi pod krzyżem. Schylił się i dotknął jej ramienia. Podniosła głowę i ze łzami w oczach

powiedziała ściszym głosem: „W końcu On także był Żydem”. Być może Emma zaczęła w pewien sposób wnikać w tajemnicę Jego dróg.

Czy chrześcijanin może okazać gniew przed swoim Ojcem niebieskim? Joni Eareckson Tada, sparaliżowana wskutek wypadku podczas nurkowania, kipiała z wściekłości i wbijała jadowne kolce wszystkim dookoła, bo Bóg wydawał się jej niedostępny. Czy Pan obraziłby się, gdyby wylała przed Nim swoje zgorzknienie?

Zanim osądzimy takie postępowanie jako „nieduchowe”, warto posłuchać lamentu Hioba: „A czyż ja do ludzi mam żal? Czy niesłusznie duch mój jest wzburzony?” (Hi 21, 4), „I dziś ma skarga jest gorzka, bo ręką swą ból mi zadaje” (23, 2). Patriarcha nie mógł powstrzymać swych jęków, chociaż uznawał, że są one buntownicze („gorzka” można także przetłumaczyć jako „buntownicza”). Zaskakujące u Hioba jest to, że zastanawia się on, czy Bogu sprawia przyjemność dręczenie go (10, 3), a nawet prosi Boga, by go zostawił w spokoju (7, 19). Fakt, że Duch Święty pełną udreki szczerość Hioba zachował w Piśmie Świętym, powinien zachęcić nas do mówienia tego, co rzeczywiście myślimy. Bóg jest z pewnością wystarczająco wielki, by sobie z tym poradzić.

W jaki sposób Ten, którego Hiob nazywa *Szaddaj* (Wszehmocny), odpowiada swemu dziecku? Słyszemy, być może nieoczekiwanie, jak zwraca się do marnych pocieszycieli Hioba: „Nie mówiliście prawdy o Mnie, jak sługa mój, Hiob” (Hi 42, 7). Wprawdzie Bóg nie broni słuszności każdego słowa, wypowiedzianego przez Hioba, niemniej zaświadcza o prawości swego sługi. Hiob nie znosi pozorów.

Skoro Bóg zna myśli swego dziecka, nie mają sensu próby ukrywania ich, lub udawania czegoś innego, nawet jeśli są one dalekie od tego, co uważamy za właściwe. Chciałbym móc bez przerwy wołać: „Alleluja!”, ale Bóg wie, że moje serce nie byłoby zgodne z ustami. Bądźmy szczerzy: nikt nie może mieć stale pobożnych uczuć, a nasze uczucia nie są dla Boga najważniejsze. Jesteśmy zawsze na o wiele solidniejszym gruncie, jeśli skupiamy się na Jego miłości ku nam, zamiast na naszej miłości ku Niemu.

Jeśli Bóg jest równie kochający, jak Wszechmocny (a Biblia potwierdza, że tak właśnie jest), to dlaczego pozwala, by nasze życie było wstrząsane tak wieloma niepokojącymi wydarzeniami? Czasem przychodzą one z takim natężeniem, że albo nie jesteśmy w stanie się modlić, albo wypowiadamy nieszczerze frazesy, które są tak oderwane od naszego życia, jak śpiewana przez pięciolatka piosenka: „Lata, które spędziłem w próżności i pysze...” Elisabeth Elliot słusznie powiada, że „najsroższe próby wiary przychodzą nie wtedy, kiedy nie widzimy nic, ale wtedy, gdy dostrzegamy oszałamiającą ilość znaków, które – zdawałoby się – świadczą o tym, że uwierzyliśmy na próżno”.

Niech to ci wystarczy

Cel życia Mojżesza był związany z Kanaanem; trzecią część życia spędził podążając do Ziemi Obiecanej. Jednak nie dane mu było przekroczyć Jordanu z powodu wcześniejszego porywczego postępu. Szczególnie przykro musiało być Mojżeszowi, ponieważ błagał Tego, którego znał jako przyjaciela, by pozwolił mu wejść do tej ziemi (Pwt 3, 23-25). Jego modlitwa, zanoszona ufnie, pokornie i szczerze, była logiczną kulminacją czterdziestoletniego dążenia. W Biblii Króla Jakuba [angielska wersja Biblii, opracowana za panowania Jakuba I, wydana w r. 1611 – *red.*] Bóg odpowiada: „Niech to ci wystarczy”. Dla Mojżesza, który przez jedną trzecią swego życia zmierzał w stronę Palestyny, słowa te z pewnością były trudne do przyjęcia. Być może ty także jesteś nieco zakłopotany tą odpowiedzią Boga, która zdaje się nieco szorstka.

Boże rozwiązanie

Wiele lat przed tym wydarzeniem Mojżesz zwrócił się do Boga z ufną prośbą: „Naucz mnie Twoich dróg, abym poznał Ciebie” (Wj 33, 13). Mojżesz miał się przekonać, że niektóre modlitwy są

wysłuchiwane w zaskakujący sposób. By poznać Boga, Mojżesz musiał być poddany temu samemu prawu, co jego lud, prawu, które nie pozostawiało winnych bez ukarania (Wj 34, 7). Nieopanowane zachowanie Mojżesza, przez które mimowolnie pomniejszył on objawienie się chwały Jahwe przed Izraelitami (Lb 20, 10), pociągnęło za sobą nieuniknione konsekwencje.

Natomiast, jeśli patrzeć od strony pozytywnej, Bóg przygotował dla Mojżesza coś lepszego. Zamiast wprowadzić uparty lud do ziemi, która wkrótce została skalana grzechami tegoż ludu, Mojżesz doczekał się spełnienia swoich najgłębszych pragnień: mógł oglądać Boga w Jego wspaniałości i cieszyć się Nim, nigdy nie skalanym.

Pismo Święte przekonuje mnie, że Bóg ma ukryty plan wobec każdego z nas. Zamierzył On i dopuścił wiele rzeczy, które z pewnością nie będą dla nas przyjemne. Z jednej strony podziwiamy subtelności prozy Faulknera czy Prousta, a z drugiej żywimy dziwne przeświadczenie, że działanie Boga w naszym życiu musi być proste i oczywiste. Nawet jednak, jeśli nie pojmujemy tego, co Bóg czyni w naszym życiu, swój zamiar wobec nas wyraził On jasno: chce upodobnić nas do swego Syna i doprowadzić do chwały (Hbr 2, 10).

Gdy przyglądamy się życiu Pana, widzimy z całą oczywistością, że Jego posłuszeństwo wydoskonalilo się nie przez liczne cuda, jakich dokonał, ale przez to, co wycierpiał (Hbr 5, 8). Czyż ten, kogo Bóg wybrał za narzędzie, nie powinien oczekiwać, że Jego życie stanie się odzwierciedleniem życia Jezusa (Dz 9, 15-16)? Sposób, w jaki Bóg odpowiada na nasze prośby, musi odnosić się do Jego niezmiennego zamiaru upodobnienia nas do Chrystusa i uzdolnienia nas do radowania się Nim na wieki.

Kilka miesięcy po moim chrzcie otrzymałem wiadomość od mojego byłego nauczyciela muzyki, że jego żona umiera na raka. W czasie snu poczułem, że Bóg pobudza mnie, bym pojechał do jego odległej rezydencji i pomodlił się o uzdrowienie Dorine. Gdy przybyłem na miejsce, Ed przywitał mnie serdecznie i z nadzieją. Powiedziałem mu, jak ciężko mi na sercu z powodu choroby jego żony. Ujrzawszy jej wyniszczone ciało bezsilnie leżące na łóżku, straciłem wszelką otuchę. Jeśli choroba posunęła się tak daleko, jak

mogłem wierzyć, że moja modlitwa zostanie wysłuchana? Mimo wszystko uczyniłem to, co było celem mojego przyjazdu: delikatnie dotykając jej wątego ramienia pomodliłem się o jej uzdrowienie.

Wiele miesięcy później, gdy byłem wytrącony z równowagi przez silny sprzeciw ze strony mojej rodziny, ze smutkiem otworzyłem list od mojego przyjaciela Eda, o którego sytuacji zupełnie zapomniałem, przytłoczony kłopotami we własnym domu. Nigdy nie zapomnę tego, co Bóg wtedy uczynił. W najbardziej odpowiedniej chwili dostałem wiadomość o cudzie, którego dokonał On w życiu Dorine: jej powrót do zdrowia wywołał konsternację wśród lekarzy.

Nieoczekiwana nowina dała mi nową nadzieję i odświeżyła moją decyzję pójścia za moim Mesjaszem. Nauczyła mnie też, że działanie Boga nie jest ograniczone przez moją nieco przygaszoną wiarę, ani przez to, że nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób mógłby On zaradzić dręczącej potrzebie. Muszę się wystrzegać sposobu myślenia tarczownika, który z powątpiewaniem odniósł się do zapowiedzi obfitości, danej przez Elizeusza: „Chociażby nawet Pan zrobił okna w niebiosach, czy mogłoby spełnić się to słowo?” (2Krl 7, 2).

Upłynęło kilkadziesiąt lat od dnia tej Bożej interwencji i, chociaż wiele razy modliłem się za chorych, nic podobnego już więcej nie nastąpiło. W książce „Poznawanie Boga” J. I. Packer zauważa, że na początku drogi duchowej świeżo nawróconych chrześcijan ich modlitwy często są wysłuchiwanie w nadzwyczajny sposób – „przez to Bóg dodaje im odwagi i utwierdza” w Chrystusie.

Ale w miarę dojrzewania kształtuje On ich charakter, ćwicząc ich w twardszej szkole, poddając ich próbom i naciskom nie znanym im w pierwszych dniach nowego życia. Wszystkie dzieci Boże mogą się spodziewać tego rodzaju traktowania, ponieważ Bóg oświadcza, że jest ono normatywne (Dz 14, 22, Hbr 12, 5). W obliczu tego, co postrzegamy jako życiowe tragedie, możemy Mu ufać, że, cokolwiek by nas spotkało, Jego nieomylny plan wobec nas jest dobry, ponieważ On jest dobry. Jak dowodzi tego w rozstrzygający sposób przykład niezmiernie doświadczanego patriarchy Hioba, Bóg układa wszystko w ten sposób, by darzyć błogosławieństwem swoje dzieci. Nawet

w najbardziej niewesołej sytuacji nic nie może odmienić Jego zamiarów pełnych pokoju, a nie zguby (Jr 29, 11-13). „Trzymajmy się [tej nadziei] jako bezpiecznej i silnej kotwicy duszy...” (Hbr 6, 19).

Modlitwa zagubionego

Mój Panie Boże, nie wiem, dokąd idę. Nie widzę drogi przede mną. Nie mam pewności, dokąd mnie ona zaprowadzi. Nie znam naprawdę siebie, a choć wydaje mi się, że wypełniam Twoją wolę, nie oznacza to, że tak jest w istocie. Ale wierzę, że podoba Ci się już samo to, że pragnę się Tobie podobać. Ufam, że to pragnienie towarzyszy mi we wszystkim, co czynię. Ufam, że nigdy nie zrobię niczego w oderwaniu od tego pragnienia. I wierzę, że tak postępując, będę się Tobie podobał, nawet nie będąc tego świadomy. Dlatego zawsze będę Ci ufał. Nie ulęknię się, choćby się zdawało, że jestem zgubiony i w cieniu śmierci, bo Ty zawsze jesteś przy mnie i nigdy nie zostawisz mnie samego w obliczu niebezpieczeństwa.

Autor nieznan

6. WSPINANIE SIĘ NA GÓRĘ

Rachmiel, mój znajomy Żyd, który przeżył hitlerowski obóz koncentracyjny, chętnie dzielił się swoim ulubionym werselem biblijnym, stanowiącym źródło jego siły w czasie holocaustu: „Płacz nadchodzi z wieczora, a rankiem okrzyki radości” (Ps 30, 6). Lubił odczytywać go na głos ze swej starej Biblii hebrajskiej (bez zaznaczonych samogłosek), by uzyskać pełny efekt. Co ważniejsze, był wytrwały w modlitwie w świetle Bożego Słowa pomimo nieubłaganych przeciwności, które wydawały się nie do pokonania. To zaś, czego Bóg nauczył go w ciemnościach, jak powiedział Fenelon, „zachowywał na zawsze”.

Jezus kazał swoim uczniom modlić się i nigdy nie ustawać (Łk 18, 1). Modlitwa jest jednak, według E. M. Boundsa, „wyczerpującą pracą duchową”. Ze względu na wymagającą naturę modlitwy unikamy głębszego zaangażowania w ten trud. Zbyt łatwo się zniechęcamy. Być może dzieje się tak dlatego, że żyjemy w czasach, kiedy każdy chce mieć odpowiedź na poczekaniu, natychmiastową satysfakcję. Nikt nie lubi cierpliwie czekać na cokolwiek. Żyjemy w takim pośpiechu, że za bardzo wzniosły czyn z naszej strony uważamy przepuszczenie przed sobą innego samochodu na szosie. Ale jeśli znużenie i niecierpliwość zniechęcają nas do modlitwy, musimy uznać, że bardziej podstawową przeszkodą jest grzech.

Bardzo przemawiają do mnie refleksje pewnego purytanina: „O Boże, zraniony, zapomniany, zelżony dobroczyńco, gdy myślę o Twej wielkości i Twej dobroci, zawstydzona mnie moja nieczułość. Nie

śmiem podnieść oczu ze wstydu, bo pobłądziłem jak głupiec”. Mark Twain słusznie zauważył: „Człowiek jest jedynym zwierzęciem, które rumieni się ze wstydu – jedynym, które ma do tego powody”.

Mam tu jednak na myśli nie tyle nasz „pierworodny” grzech, powodujący duchowe znużenie i zniecierpliwienie, co owe szczególne, często powtarzające się myśli i czyny, po których mamy ochotę ukryć się przed Bogiem. Wprawdzie deklarujemy ustami, że wyznanie grzechów ze skrucą przywraca nam słodycz obcowania z Bogiem (1J 1, 9), w praktyce jednak często czujemy taką odrazę do siebie, że stajemy się posępnymi i trudno nam wierzyć, że nic „nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym” (Rz 8, 39). W rezultacie pozwalamy, by nasze błędnie urobione sumienie zatamowało modlitwę. Zamiast oprzeć się na Piśmie Świętym, kierujemy się swoimi uczuciami.

Radzenie sobie ze zdradliwymi myślami

Szekspir pisał: „nasze wątpliwości to zdrajcy”. Cóż, każdemu z nas przychodziły do głowy myśli sprzeczne z wyznawaną wiarą. Izajasz był wrażliwy na zniechęcenie swego narodu. Żydzi nie dostrzegali troskliwej miłości w karach Bożych. Z pewnością trzeba było, by wielu z nich nawróciło się do Boga i by z głęboką skrucą porzucili drogi, na których Go obrażali. Bez tego Bóg jakby nie słyszał ich wołania (Iz 59, 1-2).

Ale wielu spośród tych, na których Bóg położył swą łaskawą rękę, mówiło: „Zakryta jest moja droga przed Panem i prawo me przed Bogiem przeoczone” (Iz 40, 27). Ci ludzie stracili kontakt z rzeczywistością. Bóg nie miał zamiaru porzucić dzieła swych rąk, ani nie był On obojętny na ich problemy. Prorok przypomina więc ludowi, że nie powinien tracić nadziei złożonej w Panu, który odnowi jego siły (Iz 40, 31). „Kto wierzy, nie wpadnie w popłoch” (Iz 28, 16b, tłumaczenie autora).

Izajasz pamiętał, jak Bóg w cudowny sposób zmaszał jego winę węglem z ołtarza, dzięki czemu on, nieczysty grzesznik, mógł stanąć

w obecności Bożej (Iz 6, 5-7). To doświadczenie odnosi się do każdego z nas, w tym znaczeniu, że bezcenne zwycięstwo Jezusa na krzyżu – zapowiadane przez starotestamentalne ofiary przebłagalne – wprowadziło nas w obecność Boga samego, który nas nigdy nie odrzuci (J 6, 37; Ef 1, 3).

W takiej perspektywie nasze trudności nie wyglądają już tak przerażająco. Po raz kolejny jesteśmy wzywani do tego, by przedłożyć naukę zawartą w Piśmie Świętym nad utyskiwanie naszych skołatanych emocji. Trzeba koniecznie, by to przekonanie zapadło głęboko w nasze serca. Jeśli doszedłeś w swoim życiu do momentu, w którym, jak Izrael, czujesz, że Bóg zostawił cię na mieliźnie, pozwól, by Słowo ze swoją jasną nauką wzięło górę nad twymi wątpliwościami; proś Boga o łaskę wiary w to, co jest napisane.

Luter krytykował Erazma twierdząc, że jego sposób myślenia o Bogu był „zbyt ludzki”. To właśnie stanowi także nasz problem. Często na przykład niechętnie przynosimy do Niego nasze drobne sprawy, wyobrażając sobie Boga jako bardzo zajętego, przepracowanego kierownika, który mógłby nie mieć czasu albo ochoty na zajmowanie się naszymi codziennymi troskami. A przecież On się nigdy nie męczy i z radością odpowiada na wołanie słabych (Iz 40, 28-29). Nasze oceny opierają się często na naiwnych impulsach, zamiast na prawdzie pewnego Objawienia Bożego.

W Talmudzie rabini mówią, że w niebie Bóg zapyta swoich ludzi, czy mieli wyznaczony czas na studiowanie Biblii. Dlatego czcigodny rabbi Symeon zalecał swoim uczniom: „Niech czas waszego studium będzie ustalony”. Bez określonego czasu na zgłębianie Biblii każdemu z nas grozi pesymistyczne spojrzenie na Boga, Jego troskę o nas i na przejawy Jego opatrności, których moglibyśmy w obfitości doświadczać dzięki modlitwie.

Wyzwolenie poprzez wyznanie grzechu

Potężne Jerycho upadło, gdy zabrzmiał okrzyk wojenny (Joz 6, 20), a tymczasem o wiele mniej groźny przeciwnik, miasto Aj,

rozgromiło Izraela. Oszołomiony dowódca upadł na twarz przed Jahwe, w nadziei, że przywróci mu On swą łaskawość. Jozue nie spodziewał się tego, co wówczas nastąpiło: „Rzekł Pan do Jozuego: «Wstań! Dlaczego tak leżysz twarzą do ziemi? Izrael zgrzeszył...»” (Joz 7, 10-11a).

Grzech musiał zostać wyznany i dopiero potem lud Pana mógł na nowo doświadczać Jego błogosławieństwa i iść naprzód w dobrym kierunku. My także musimy wpiery uporać się z naszymi winami wyznając je i odwracając się od nich, jeśli szczerze pragniemy obfitości Bożych łask.

Norman Vincent Peale opowiada, jak to będąc chłopcem ukrył się w alejce i próbował poczuć się dorosłym pociągając duże, czarne cygare. Gdy nieoczekiwanie pojawił się jego ojciec, Norman usiłował zgasić cygare, skierowując jednocześnie uwagę taty na plakat oznajmiający przyjazd cyrku. Z wielkim entuzjazmem wskazał na ogłoszenie i zapytał, czy ojciec nie poszedłby z nim na przedstawienie do głównego namiotu. Odpowiedź ojca zapamiętał aż do tej pory: „Norman, nigdy nie proś o nic, trzymając w ręku kopczą oznakę nieposłuszeństwa”.

Koniecznym jest rozliczać się z naszych czynów przed Bogiem: „Nie zazna szczęścia, kto błędy swe ukrywa; kto je wyznaje, porzuca – ten miłosierdzia dostąpi” (Prz 28, 13). Wyznając grzeszne myśli lub czyny, zawsze mam tendencję do wyszukiwania „okoliczności łagodzących”. „Przepraszam Cię, Boże, ale ten a ten był wobec mnie tak nieuprzejmy...” „Przebacz mi, Ojcze, ale moja rozpaczliwa sytuacja doprowadziła mnie do...” Jeśli przychodząc do Boga zaczynamy od takiej przedmowy, to tak naprawdę chcemy się usprawiedliwić; mówimy, że potrzebujemy tylko odrobiny miłosierdzia, troszeczkę łaski. Nie jesteśmy wcale tacy źli i postąpilibyśmy lepiej, gdybyśmy mieli bardziej sprzyjające warunki.

Samousprawiedliwianie się zaczęło się już w Edenie, a dzisiaj jest tak samo bezwartościowe, jak było w ogrodzie rajskim. Nie powinno nas to dziwić: nikt z nas nie chce wziąć na siebie całkowitej odpowiedzialności za swoje złe czyny. Ale gdyby tobie ktoś wyrządził krzywdę, czy przyjąłbyś chętniej przeprosiny pokryte

wymówkami, czy też otwarte przyznanie się do winy i prośbę o przebaczenie?

To ostatnie podejście jest nie tylko najbardziej wyzwalające, jako że szukamy w nim pokornej relacji do drugiego, ale jest także jedynym prawowitym sposobem przywrócenia więzi ze świętym Bogiem, którego prawa stale lekceważymy. W tym względzie wiele możemy się nauczyć z błagania Dawida po grzechu z Batszebą (Ps 51, 3-6). Nie szuka on usprawiedliwienia, ale po prostu prosi o zmiłowanie.

A Boże miłosierdzie hojnie nawiedza nas każdego dnia, nawet „siedemdziesiąt razy po siedem” (Mt 18, 22).

Kluczowe zastrzeżenie

Jezusowe pouczenie, by modlić się: „odpuść nam, jako i my odpuszczamy”, powinno także uwrażliwić nas na Jego przestrożę, że jeśli my nie przebaczymy ludziom, to i Ojciec nasz nie przebaczy nam (Mt 6, 14-15). Gdzie bylibyśmy bez Jego przebaczenia? Bez dostępu do Niego musielibyśmy polegać wyłącznie na sobie. Nic dziwnego, że Jezus nakazał nam, byśmy gorliwie starali się pojednać z tymi, którzy mają coś przeciwko nam, a nawet byśmy odeszli od ołtarza w celu rozwiązania osobistego konfliktu (Mt 5, 23-24). Jeśli żywimy w sobie gorzką urazę, na darmo nasza modlitwa, chyba, że najpierw będziemy prosić Boga o łaskę, by poradzić sobie z tą urazą w świetle Jego Słowa.

Cóż więc na to powiemy?

Nasze prośby o przebaczenie powinny być otwarte i szczerze wobec Boga. Powinny także, w odpowiedzi na przynaglenia Ducha Świętego, być konkretne i nazywać winę po imieniu. Musimy pamiętać, jak bardzo Ojciec nie może się doczekać naszego powrotu (Łk 15, 20), nawet jeśli nasza motywacja nie jest najszlachetniejsza.

(Przypomnijmy sobie, że skrucza syna marnotrawnego miała początek w jego żołądku [Łk 15, 16-18]). Proś Go o łaskę przemiany i przyjmij Jego przebaczenie; nie pozwól, by odpuszczone grzechy nadal ciążyły ci na sercu.

Przez wiele pokoleń lud Izraela przyjmował dosłownie obietnicę Micheasza, że Jahwe „wrzuci w głębokości morskie wszystkie ich grzechy” (Mi 7, 19). Izraelici przychodzili więc nad brzeg Jordanu, by ceremonialnie zmyć z siebie swoje nieprawości, zostawiając je w głębinach rzeki i by przyjąć przez wiarę gruntowne oczyszczenie. Na innym miejscu Bóg obiecał, że: „Jak jest odległy wschód od zachodu, tak daleko odsuwa od nas nasze występki” (Ps 103, 12) – czyli na odległość nieskończoną.

Przyjmijmy taką postawę jak Paweł, który nie zagrzebywał się w przeszłości. Dzięki swej szerokiej wizji przebaczenia Bożego w Chrystusie był skoncentrowany jedynie na chwalebnej przyszłości (Flp 3, 13-14).

Łaska skruchy

O północy zadzwonił telefon. Byli to moi znajomi, którzy zaczęli opowiadać mi o młodym człowieku, muzyku. Wrócił on niedawno z Kalifornii, gdzie grał w Orkiestrze Symfonicznej San Francisco. Niegdyś członek Kościoła, odszedł później od niego, zabrnął w homoseksualizm i w końcu zaraził się AIDS. Leży teraz umierający w sypialni. Wrócił do domu, by umrzeć w towarzystwie kogoś, kto chciałby go przyjąć. Zapytali mnie więc, czy nie przyśzedłbym, by go, na ile to możliwe, przygotować na śmierć.

Powiedziałem, że pomodłę się za niego, a wcześniej rano chętnie zjawię się u nich, by spełnić ich prośbę. Nie byli wprawdzie pewni, czy on dożyje do rana, ale ponieważ było już późno, nie nalegali na mnie, bym przyjeżdżał natychmiast.

Po odłożeniu słuchawki, chcąc z powrotem położyć się spać, pomodliłem się za Richarda, by Bóg okazał mu swe miłosierdzie i doprowadził go do Zbawiciela. Chciałem się odprężyć, ale nie

dałem rady. Duch Święty nie pozwolił mi na to. Stawało się dla mnie coraz bardziej oczywiste to, że Bóg chciał, bym przewyciężył swoją ociężałość, wstał z łóżka i pojechał modlić się za Richarda.

Wrzuciwszy na siebie w pośpiechu ubranie, pojechałem szybko do odległego o kilka mil domu znajomych i podszedłem do łóżka Richarda. Oddychał z trudem, jego oczy były nieprzytomne. Wziąłem go za przypominającą szkielet rękę i zacząłem się modlić, tym razem czując Bożą obecność. Nie pamiętam treści mojej modlitwy, ale przypominam sobie, że pochyliwszy się nisko nad nim śpiewałem: „Wiem, że Jezus kocha mnie, tego Biblia uczy mnie...” Gdy skończyłem, nieziemskie uczucie pokoju ogarnęło moją duszę. Wiedziałem, że orędzie miłości Chrystusa dotarło do niego, że dzięki łasce Boga rzeczywistość Jego przebaczącej miłości przeniknęła serce Richarda.

Wcześniej rano znów zadzwonił telefon. Tym razem dowiedziałem się, że Richard został wezwany do swej ojczyzny i nie był już marnotrawnym synem w obcej krainie.

Nauczyłem się, że to, gdzie się modłę, jest równie ważne jak to, o co się modłę; że wrażliwość na prowadzenie przez Ducha Świętego oznacza coś więcej, niż tylko pragnienie, by On modlił się przeze mnie. Gdy do mojego życia modlitewnego zakrada się iluzoryczność, nie mogę przeoczyć pytania: „Czy jestem tam, gdzie Jezus chce, abym był?”

Słowo Boże nieustannie powraca do nas, rozbijając mury naszych serc (Jon 3, 1).

Po kazaniu George'a Whitefielda pewien farmer z Connecticut napisał w swym dzienniku: „Jego słowa zraniły mnie w samo serce i dzięki Bożemu błogosławieństwu to, na czym opierałem się dotychczas, rozpadło się – dostrzegłem, że moja sprawiedliwość mnie nie zbawi”. Bóg, który w cudowny sposób uświadamia nam, że potrzebujemy Jego miłosierdzia i łaski, natchnął pewnego purytanina taką oto modlitwą: „zadaj ranę memu sercu, aby je uleczyć; skrusz je, by Twoja własna ręka mogła je uzdrowić”.

Duch tych słów koresponduje z prośbą Dawida: „zobacz, czy jestem na drodze nieprawej, a skieruj mnie na drogę odwieczną” (Ps

139, 24). Tak jak psalmista powinniśmy prosić Boga, by uświadomił nam sprawy w naszym życiu, które wołają do Niego o pomoc, by mogła nastąpić przemiana.

Nie wystarczy sama praca nad sobą. Stara natura nigdy nie pozwoli mi dokonać upragnionej radykalnej zmiany. Nikt lepiej od Pawła nie rozumiał naszego rozdarcia, kiedy powiedział: „jestem cielesny, zaprzędany w niewolę grzechu” (Rz 7, 14). John Donne wnikliwie opisał nasz los, zanosząc właściwą prośbę:

Jestem jak miasto, które wróg zagarnął.
Na próżno pragnę, byś weń wszedł.
Rozum, namiestnik Twój, miast bronić,
Zwiódł mnie, okazał słabość swą i fałsz.
Kocham Cię i pragnę Twej miłości,
Lecz zaręczony jestem z wrogiem Twym.
Rozwiąż, rozerwij znów ten węzeł,
Weź mnie do siebie, uczyni więźniem swym.
Bez Twego jarzma nie zaznam wolności,
Ani czystości, bez olśnienia Tobą.

Chociaż rzewne rozmyślanie nad samym sobą jest z pewnością bezowocne – nie bawmy się w archeologów, grzebiąc w swej odległej przeszłości – warto prosić Boga, by uświadomił nam nasze winy, które potem możemy wyznać, odrzucić i uzyskać przebaczenie. Może się to okazać środkiem do pogłębienia i ożywienia naszej modlitwy.

12. ZMAGANIA Z BOGIEM

Biblia przedstawia Jakuba zasadniczo jako człowieka wiary, nawet jeśli uważamy, że jego zachowanie było nie do przyjęcia. Cechuje go głębokie, trwałe zaufanie w Boże obietnice, przekonanie, które żywi niezachwianie. Niestety, Jakub sądzi też, że obietnice te mogą się wypełnić w jego życiu jedynie dzięki jego własnym manipulacjom. Słusznie więc nosi imię Jakub, oznaczające człowieka, który wyrugował kogoś ze stanowiska i sam je zajął; dziś potocznie powiedzielibyśmy „kombinatora” (Rdz 27, 36).

Każdy z nas ma, podobnie jak Jakub, tendencję, by próbować zrealizować wolę Bożą własną siłą i sprytem. Dzieje się tak zwłaszcza wtedy, gdy, tak jak Jakub, mamy do czynienia z upartymi ludźmi lub wrogimi sytuacjami. Łatwo zrozumieć człowieka, którego ojciec wydawał się całkiem niepomny na Boże zamiary (Rdz 25, 23) i którego wojowniczy brat był „bezbożnikiem” (Hbr 12, 16). Dodajmy do tego kochającą go ślepo, a przy tym przedsiębiorczą matkę i widzimy, że tworzy się bardzo niezdrowy duchowy klimat. Wzrastając w takim właśnie środowisku Jakub postanowił, że zrobi wszystko, co będzie trzeba – zgodnie z zasadą „cel uświęca środki” – by osiągnąć to, co jak wierzył, miało mu przyspaść w udziale.

Interes jak każdy inny

Gdy dążymy do jakiegoś celu – nawet szlachetnego – mając takie podejście jak Jakub, pojawia się pewien problem: otóż w cen-

trum stawiamy nasze własne wysiłki i umniejsza się nasza świadoma zależność od Boga. W krótkim czasie możemy dojść do takiego punktu, że modlitwa przestanie mieć dla nas znaczenie i zaczniemy traktować ją powierzchownie. W końcu Bóg zlituje się nad nami i pokieruje naszymi losami w taki sposób, żebyśmy zrozumieli bezowocność takiego podejścia do życia. Przez swoją łaskę pomoże nam dostrzec, że nie możemy rozwiązać naszych problemów w zadowalający sposób, jeśli spychamy Go na margines.

Czasem do uświadomienia nam tej prawdy potrzebne są bolesne doświadczenia. Jakub poczuł to na własnej skórze. Przez około dwadzieścia lat Bóg pozwalał mu dążyć do pożądanego błogosławieństwa samodzielnymi metodami. Ale wskutek swoich oszustw patriarchy musiał uciekać z domu, by ukryć się przed zagniewanym bratem w domu wuja Labana, któremu także nieobce było egoistyczne traktowanie innych. Krewny Jakuba próbował go tam wykorzystać, a ten, co było do przewidzenia, odplacił mu pięknym za nadobne. I znowu musiał uciekać – tym razem ścigany przez Labana i jego towarzyszy.

Decydujące wydarzenie

Zanim jeszcze Jakub dotarł do obozu Labana, Bóg ukazał mu się we śnie. Śpiąc pod gołym niebem patriarchy ujrzał drabinę oraz aniołów, którzy wchodzili do nieba i schodzili na dół. Warto zauważyć, że w tej wizji Bóg nie wyrzekł ani słowa wymówki pod adresem przebiegłego uciekiniera, natomiast rozwodził się nad owymi bezcennymi obietnicami, które zdawały się Jakubowi tak ulotne (Rdz 28, 13-15).

Mimo, że Jakub nie miał wiele czasu na sprawy duchowe, Bóg miał mnóstwo czasu dla Jakuba. Pośrodku pustyni Bóg przejął inicjatywę w swoje ręce – „spotkał go w Betel” (Oz 12, 4) – aby przypomnieć Jakubowi, że błogosławieństwa, o które się ubiegał, mógł otrzymać jedynie przez łaskę.

W następstwie tego wydarzenia Jakub złożył Bogu ślub, że będzie mu składał dziesięcinę ze wszystkiego, co nabędzie. Intencja tego ślubu mogła być prawa, jednak był on zupełnie zbyteczny. Cokolwiek by Jakub uczynił, żadna drabina wykonana przez człowieka nie wystarczyłaby do połączenia jego ziemskich potrzeb z dobrami nieba. Tylko Syn Boży – na którego zstępują aniołowie (J1, 51) – mógł przemienić miejsce wygnania Jakuba w „Betel”, gdzie, jak sama nazwa wskazuje [Dom Boży – *red.*], można poznać obecność Boga. Być może wydaje ci się, tak jak Jakubowi, że jesteś na wygnaniu w nieokreślonym miejscu – znam to uczucie! W swym przygnębieniu możesz czuć, że nie potrafisz się modlić. Nic bardziej błędnego. Nasz Pan może przemienić twoje Luz w Betel (Rdz 28, 19).

Coraz gęstszy mrok

Zbliżając się do kraju Ezawa Jakub wysłał do niego posłów z wiadomością o swym rychłym przybyciu. Po powrocie posłów Jakub z przerażeniem dowiedział się, że Ezaw z czterystu ludźmi nadciąga, by zemścić się na nim za wcześniejszy podstęp dotyczący przywileju pierworodztwa. Jakub był zgubiony! Sam jeden pozostał nad potokiem Jabbok (Rdz 32, 25).

Tam właśnie w swym osamotnieniu nie tylko stanął twarzą w twarz z własną słabością, ale także z Bogiem, który objawił mu się pod postacią anioła. Mojżesz opowiada, że nastąpiło zmaganie, podczas którego anioł „dotknął” stawu biodrowego Jakuba i wywichnął mu ten staw (32, 26). Niektórzy uważali, że bohaterem tego pojedynku był Jakub. Uznając jego wytrwałość za godną pochwały, nie traćmy jednak z oczu innych kluczowych elementów przedstawionych w tym opisie.

Po pierwsze, jest rzeczą zupełnie oczywistą, że walka miała miejsce z inicjatywy Boga (Rdz 32, 25). Po drugie, Bóg postawił granicę swej mocy, nie chcąc zniszczyć Jakuba. Wreszcie Bóg

postąpił tak po to, by dać Jakubowi do zrozumienia, że chce obdarzyć błogosławieństwem swe niegodne, lecz umiłowane dziecko. Doprowadzony do rozpaczony Jakub „płakał i błagał o Jego [Anioła] łaskę” (Oz 12, 5). Przy całej swej dotychczasowej zapobiegliwości osiągnął tylko tyle, że wszyscy odwrócili się od niego, a on sam stał się podobny do nieszczęsnego włóczęgi.

Spotkania Jakuba z Bogiem w Betel i w Penuel przekonały go, że bez łaski Bożej jego los byłby beznadziejny. Nie tylko stanął twarzą w twarz z Bogiem, ale także dostrzegł, jak bezsensowne są próby zapewnienia sobie powodzenia na własną rękę. O łaskawych zamiarach Bożych miała przypominać Jakubowi zmiana jego imienia na „Izrael” (Bóg walczy), a także noga, na którą stale utykał wskutek dotknięcia jej przez Boga (do czego jeszcze powrócimy). Smutno mi, gdy pomyślę, że pamiątka tego przełomowego dla Jakuba doświadczenia przetrwała w moim narodzie głównie jako dodatkowa zasada dotycząca odżywiania się (Rdz 32, 33).

Rabinistyczna lekcja

Gdy miałem zostać synem przykazań (*bar micwa*), w ramach przygotowań do tej ceremonii udałem się do gabinetu rabina. Rozmawialiśmy o obowiązkach religijnych, które miałem spełniać, aby stać się mężczyzną w oczach Izraela i w pełni przyjąć na siebie jarzmo Prawa. W trakcie rozmowy rabinowi zaschło w gardle. Wstał więc zza biurka i przeszedł przez swój obłożony książkami pokój do miejsca, gdzie stał świeżo kupiony termos, z którego można było otrzymać wedle życzenia – albo wrzątek na herbatę, albo wodę z lodem. Gdy spojrzął na zawartość filiżanki, na jego twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia. Woda była letnia – nie nadawała się do picia. Żeby to nieprzyjemne doświadczenie nie poszło na marne, zwrócił się w moją stronę i w prawdziwie rabinistycznym stylu wyciągnął naukę ze swego rozczarowania: „Stuart, niech to cię nauczy, by nigdy nie mieć do czynienia z czymś, co jest jednocześnie zimne i gorące”.

Porównanie biblijne

Nowy Testament uczy, że Bóg także brzydzi się letniością, zwłaszcza w sprawach duchowych (Ap 3, 16). Jakie to szczęście dla nas, że Bóg zмага się z nami, by wyrwać nas z letargu byle jakiej relacji z Nim. Bardzo nas kocha i dlatego nie dopuści, byśmy karmili się jedynie plewami naszych własnych wysiłków religijnych.

Dzieje się z nami to samo, co z Jakubem: Bóg tak reżyseruje nasze życie, byśmy w końcu zupełnie przestali polegać na sobie i zaufali jedynie Jego potężnej mocy. Wszelkie nieszczęścia, jakie nas spotykają, były zamierzone po to, by pobudzić nas do gorliwości, która sprawia, że stajemy przed Bogiem pokorni i ulegli – a nawet zrozpaczeni. Poprzez swe bolesne upokorzenie patriarcha Jakub nauczył się, co znaczy „zaufać”. Zwichnięcie stawu było dla niego uzdrowieniem.

Hebrajski odpowiednik słowa „zaufać” ma swój rdzeń w idei upadnięcia na twarz i oparcia się na podłożu. Izajasz (26, 3) mówi, że Bóg przynosi doskonały pokój temu, kto zaufał – wsparł się na – Panu. Cokolwiek działałoby się w twoim życiu, bądź pewien jednego: Bóg będzie ci odbierał wszelkie podpórki, aż do chwili, gdy odkryjesz, że Jezus sam wystarczy. Bóg walczy z nami, dopóki nie przekonamy się naprawdę, że jedynie On nas podtrzymuje, nie tylko w chwilach klęsk życiowych, kiedy czujemy być może, że poza Nim nie ma ratunku, ale także w codziennych sytuacjach, z którymi, jak niemądrze sądzimy, potrafimy sobie poradzić sami.

Mówi się, że „strzeżonego Pan Bóg strzeże”. Ale Biblia niezbyt wysoko ocenia zdolność człowieka do zaspokojenia własnych potrzeb. Dlatego właśnie Bóg chce, bym przychodził do Niego w duchu uległości, nie ufając sobie samemu, ale wierząc, że dotrzyma On swoich obietnic na swój własny sposób. Ta droga jest zawsze właściwa, ponieważ nieodmiennie prowadzi mnie ona do mego Zbawiciela. Pisarz i mówca Stephen Brown słusznie powiedział: „Dopóty nie zdajesz sobie sprawy, że Jezus jest wszystkim, czego potrzebujesz, dopóki Jezus nie stanie się wszystkim, co posiadasz”.

Choćby się skryło słońce wędrowne
I ciemność zapadła na niebie,
Choćby posłaniem moim był kamień,
W snach będę bliżej Ciebie.

Niech mi się przyśni droga do nieba
Otwarta w łaski wylewie,
Aniołów orszak niech mnie zawoła,
Żebym się zbliżył do Ciebie.

Budząc się z sercem pełnym Twej chwały
Z kamiennych smutków wzniosę Betel,
By me niedole mnie pociągały
Bliżej, mój Boże, do Ciebie.

Sarah Adams, 1841

Ostatecznie więc tytuł „Gdy nie potrafisz się modlić” stoi w sprzeczności z jedną z najcenniejszych obietnic Jezusa: „Wszystko, co mi daje Ojciec, do Mnie przyjdzie, a Tego, który do Mnie przychodzi, precz nie odrzucę” (J6, 37). Mimo, że ja jestem raz gorący, raz zimny, miłość Boga do mnie nigdy nie zwiększa się, ani nie zmniejsza. On zawsze jest gotowy mnie przyjąć, jak ów Ojciec ze znanej przypowieści Jezusa, który obejmuje powracającego syna, rzuca się na szyję brudnemu świniopasowi i całuje go serdecznie (Łk 15, 20).

Mój główny wkład w moje zdrowie duchowe polega, tak jak w wypadku zaginionej owcy na tym, że On sam znajduje mnie i zanosz do domu (Łk 15, 5-6). Nawet jeżeli jestem przekonany o swym duchowym zapale, podstawą mego życia pozostaje modlitwa o Jego ożywczą łaskę (Ps 119, 176). A Ten, na którego barkach spoczywa ciężar rządów (Iz 9, 5), chętnie weźmie na swe ramiona także i mnie – tak samo, jak poniósł swój krzyż.